ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 110

№ 20. | Warszawa, 3 (16) października 1903 r. | Rok V.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Przy wodopoju.

SEZON ZAJĘCZY.

Dzień 1-go października można uważać za termin faktycznego zamknięcia polowania na kury. Wprawdzie zdarzy się niejednemu z nas zabić jeszcze później jedną, drugą kuropatwę, ale właściwie wszystkie większe polowania na ten rodzaj zwierzyny, czy to z psem legawym, czy z naganką, już ukończone zostały.

A niebogaty był ten sezon. Straszne i długotrwałe nawałnice czerwcowe i lipcowe, a okolicami niebywałe grady i wylewy, wyniszczyły prawie doszczętnie jaja w zalążku lub młody jeszcze i słaby przychówek. Dzieło to zniszczenia przeszło szerokiemi pasami przez południowo-zachodnie części naszego kraju, a i środkowe gubernie ucierpiały, choć w mniejszym może stopniu. Zwycięzko jeszcze względnie wyszła wschodnia strona Królestwa, lecz wiadomo, że ta część kraju nie odznaczała się nigdy wielką obfitością kuropatw. Gubernia lubelska, najlepiej może uposażona pod względem gatunku ziemi, zbliża się swą glebą i konfiguracyą gruntu do Podola i Ukrainy, lecz, jak i one, podlega wpływom kontynentalnych prądów powietrza i, co za tem idzie—ostrzejszemu klimatowi, paraliżującemu nieraz wszelkie usiłowania hodowców. Gubernia siedlecka, centrum naszego Podlasia, pokryta jest w znacznej części obszernemi lasami, a pola orne leżą po większej części w lichej, piaszczystej glebie i tylko gdzieniegdzie, jak wyspy, rozciągają się ziemie lepszego gatunku. Gubernia łomżyńska, lepiej może uposażona, odznacza się znów brakiem, a przynajmniej małą ilością, myśliwych-hodowców, a o gubernii suwalskiej zamilczeć trzeba, gdyż tam kulturalne polowania prawie że nie istnieją. Tak więc sprzyjające warunki atmosferyczne znalazły się właśnie w tej części naszego kraju, która wogóle najsłabiej wpływa na ogólny stan kulturalnego łowiectwa Królestwa Polskiego.

Skutki tak opłakanego stanu kuropatw w kraju naszym, dotkliwie uczuć się dały większości naszych zwolenników myśliwskiego sportu. Kogo się tylko zapytać, albo mało, albo wcale nie polował. Ucierpiały też na tem i rodziny nasze, dla których dobrze upieczona kuropatewka w słonince, była zawsze mile widzianym kąskiem. I gdyby nawet który z ojców rodziny, chcąc ratować sytuacyę, udał się na polowanie za Żelazną Bramę, spotka się z cenami, tak wygórowanemi, że mu odejdzie wszelka ochota szukania powodzenia z tej strony. Bo dość jest powiedzieć, że już w końcu września płacono w hurtowej sprzedaży, rubla za parę, co stanowi u nas cenę bardzo wysoką.

Jedna tylko pociecha dostała się w udziale nam, biednym myśliwym. Oto zając, ten poczciwy szarak, który wypełnia prawie cztery miesiące w roku naszej egzystencyi myśliwskiej, ten poczciwy, jak powiadam, szarak przynajmniej nas nie zawiódł. Pierwszy i najważniejszy, bo najobfitszy, ląg marcowy ocalał w zupełności; a i później, gdy te największe ulewy przeszły, lęgło się to biedactwo, ku chwilowej pociesze własnej, a ku późniejszej radości myśliwych. I zewsząd dochodzą nas wieści, że zajęcy jest dużo; więc w strapionych wrześniowem niepowodzeniem, myśliwych wstępuje otucha, że będą mogli dać upust swej żyłce myśliwskiej na jesiennych i zimowych polowaniach.

Właściwy sezon zajęczy rozpoczyna się z połową października. Wcześniej polują prawidłowi myśliwi tylko wyjątkowo, na okrajkach swych terenów, aby swą kuchnię urozmaicić; albo też myśliwi, dla których pojęcie o hodowli zwierzyny i prawidłowej gospodarce łowieckiej, nie istnieje.

Jako więc w chwili otwarcia sezonu, niech mi wolno będzie zrobić kilka uwag i dać kilka rad z własnego i innych doświadczenia, znanych zresztą i nieraz powtarzanych, ale których przypomnienie przydać się może niejednemu z naszych młodych i niezbyt wtajemniczonych w łowieckie arkana, myśliwych.

Przedewszystkiem miejmy na uwadze, że broń myśliwska służy do zabijania wszelkiego rodzaju zwierzyny, jak kuropatw, zajęcy, bażantów, dzików (a we Francyi, nawet skowronków), lecz nigdy do kaleczenia, a tem mniej zabijania swych bliźnich. Pamiętajmyż więc ciągle, że zbyt miękkie spusty u zamków są powodem częstych wypadków; że noszenie broni, skierowanej lufami do towarzyszów polowania, uchodzić może tylko uczniom najniższych klas (o ile ich kto za to nie złaje); że strzelanie po linii jest karygo

---

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

(*Ciąg dalszy.*)

Służył stary im wiernie, odbywał ze swym panem dalekie podróże, cierpiał nędzę nawet dla drogiego pana. Kiedy na obczyźnie przyszła choroba, strzegł pana, jak oka w głowie, pochował go, a powróciwszy do starych kątów, niańczył młodego panicza. Stąd stosunek Jana do mego kolegi innym był, niż zwykle sługi do pana. Zresztą był to bywalec, dużo widział, dużo cierpiał, więc odgrywał często rolę mentora wobec młodego dziedzica, któremu często prawdę rżnął w oczy. Koniec zimy i wiosnę spędzał Jan pod dachem, przy kominie, bo męczyły go reumatyzmy i w lesie nie było co robić. Nie lubił towarzystwa przeciętnych pracujących ludzi, zazdroszcząc im może trochę własnego kąta i niezależności. Tęsknił wtedy za swobodą i bywał podobno zrzędnym i ospałym. Latem, chcąc coś robić, doglądał niby roboty w polu. Wyglądał przez ten czas przymusowego bezrobocia staro i chodził zgarbiony. Lecz kiedy w lasach pożółkły liście i jesienne mgły zawisły nad rojstem, kiedy młody pan przyjechał z zagranicy na koniec uniwersyteckich feryj — stary Jan zmieniał się, jak dotknięty różczką czarodziejską. Skulony grzbiet prostował się, oko nabierało blasku i budził się dawny „Jaś“, dzielny strzelec, trochę kłusownik, a trochę zawierucha, skory do kieliszka.

Knieja była jego żywiołem, w niej żył dopiero naprawdę. Nikt nie wiedział lepiej, niż on, gdzie może „stać“ łoś, gdzie tokowiska głuszców, gdzie najlepiej ciągną słonki. Od pierwszego wejrzenia zrozumiałem, co może być wartą przyjaźń takiego leśnego wilka na polowaniu, i wszelkiemi siłami starałem się pozyskać jego względy. Byłem o tyle szczęśliwym, że udało mi się to w zupełności, a korzystałem oprócz tego z przywilejów gościa, któremu Jan pragnął dobrze przedstawić knieje i litewskie polowania, więc opływałem, jak pączek w maśle.

Prowadził mnie w miejsca, gdzie spotkać można było głuszce, wołał mnie, rozbiwszy stadko cietrzewi, do których strzelaliśmy pojedyńczo, wskazywał błotka, na których siadywały dubelty—a wieczorem, kiedy zmęczeni, wynurzani w błocie, wracaliśmy do koczowiska, ledwie powłócząc nogami, opiekował się mną, jak niańka. Były to chwile, w których stary Jan zdumiewał mnie swą żelazną wytrzymałością. Chodził w ciągu dnia tyle, co inny, a może nawet więcej, nosił sążnistą torbę, wyładowaną zwierzyną, i na wieczór, kiedy mój kolega i ja wyciągaliśmy się bez duszy na sianie, nie mając sił nawet na zmianę bielizny i umycie się, Jan znajdował jeszcze dość energii, żeby rozpalić ogień, nakarmić ludzi i psy, wypatroszyć zwierzynę i urządzić nasze posłania.

dnem; że wyjmowanie ładunków z broni przy zejściu ze stanowiska, jest niezbędnem i że wogóle daleko jest korzystniej wyrzec się strzału, aniżeli skaleczyć sąsiada lub naganiacza.

Jeśli chcemy osiągnąć dobre rezultaty przy strzelaniu, starajmy się, aby nasze ładunki były zrobione starannie i z wyborowego materyału. Gilzy krajowe są wystarczające. Przybitek na proch można używać Worobjewa lub Ostrożnikowa, na śrót—orygiginalnych półprzybitek Eley'a. Kto ma broń skonstruowaną do bezdymnych prochów, niech używa stanowczo płatkowatych prochów miejscowych, które są doskonałe. Może przy nich łatwo dublować i osiągnie bodaj większą ostrość. Waga prochu miejscowego („Sokoła" lub „Liszewa") do broni 12 kalibru wynosi 2 gramy; śrótu (hart sosnowicki), — 33 do 34 gramów. Przy użyciu czarnych (dymnych prochów) średnia waga prochu dla 12 kalibru jest 5.75 grama; śrótu — 34,5 grama.

Ubranie nasze powinno odpowiadać trzem celom: ochraniać nasze ciała od zimna i sloty, nie krępować naszych ruchów przy strzelaniu i kryć nas możliwie przed bystrym wzrokiem zwierzyny. Pierwszy i drugi warunek kontrują się wzajemnie, bo jeśli się ubierzemy ciepło, to będzie nam niewygodnie strzelać, a jeśli się ubierzemy lekko, żeby sobie ruchów nie krępować, to nam będzie zimno. Za najlepsze zimowe ubranie uważam długą po za kolana i wciętą w pasie, lisiurę, podbitą, jeśli można, lisami syberyjskiemi (ryżemi lub białemi), a w ostateczności naszemi. Pokrycie winno być z jasno szarego, cienkiego i miękkiego kortu lub kamgarnu. Po bokach piersi dwie pionowe kieszenie, futrem wyłożone, służące jako zarękawek a na udach—skośne. Rękawy najlepiej watowane puchem edredonowym lub watą, ściśle przy dłoni zapięte, aby się tędy zimne powietrze nie dostawało. Niewysoki kołnierzyk stojący z siwego baranka. Jako najodpowiedniejsze po lisach uważam rysie syberyjskie, potem oposy, a najniżej cenię barany, choćby nawet romanowskie. Pod lisiurę najlepiej jest nie kłaść kurtki, lecz tylko kamizelkę z rękawami z miękkiej wigoniowej wełny.

Na odwilż i śnieg topniejący używać butów juchtowych, nałożonych na grube i po za kolana sięgające pończochy wełniane. Dobrze jest też wtedy używać filcowe łapetki bez pięty, zamiast której są dwa filcowe paski, krzyżujące się na pięcie i zapinające na podbiciu. Łapetki takie posiadają grube filcowe podeszwy, i nawet mokre, doskonale utrzymują ciepło nogi. Można je dostać w Warszawie w niektórych magazynach sportowych lub z wyrobami gumowemi. Na mrozy, przewyższające dwa stopnie, doskonałe są buty filcowe wiedeńskie, nieobszyte skórą i wyłożone wewnątrz flanelką. Włożone na ciepłe pończochy wełniane, utrzymują ciepło nogi nawet przy największych mrozach.

Nakrycie głowy zastosowane być musi do temperatury dnia. Przy mniejszych chłodach wystarcza zwykły kapelusik myśliwski lub czapeczka sportowa. Na większe mrozy dobrze jest używać czapkę z siwego baranku, opatrzoną w podnoszone do góry i mogące się opuszczać, klapki na uszy, oraz daszek. Ten ostatni jest prawie niezbędny przy polowaniu w dnie słoneczne na śniegu.

W razie deszczu lub mokrego śniegu niezbędnem jest mieć płaszcz lub pelerynę nieprzemakalną, oraz nieprzemakalny kapelusik. Znakomite są peleryny i płaszcze nieprzemakalne londyńskiego krawca Burberry (London, Haymarket), tylko nieco przydrogie (płaszcz kosztuje 60 szylingów—40 rubli).

Kolor ubrania do polowań z naganką jest rzeczą niezwykle ważną. Na czarną stopę, czy to w lesie, czy w polu, używać kolorów szarych, niezbyt ciemnych, lub bronzowych, czy zielonkawych; nigdy czarnych lub jaskrawych. Na białą stopę, szczególniej do polowań w polu, im kolor jest jaśniejszy, tem lepiej. Doskonałe są materyały, przypominające kolor brzozowej kory.

Na stanowisku niech młody myśliwy pamięta, że nieruchomość jest najpierwszym warunkiem szansy spotkania zwierzyny. Można być nawet zupełnie niezakrytym, a jeśli tylko kolor naszego ubrania zgadza się z otoczeniem i jeśli zachowamy nieruchomość, to zwierzyna wyjdzie, nie spostrzegłszy nas. Szczególniej obserwować ten przepis należy przy dzikach, jeleniach, rogaczach i lisach, nie mówiąc o wilkach.

Stanąwszy na stanowisku, nabijmy przedewszystkiem broń i rozejrzyjmy się po okolicy, aby naprzód dobrze wiedzieć, gdzie możemy strzelać, a gdzie nie. Nie stawać nigdy za grubem drzewem, lecz obok lub przed niem, a najlepiej porzucić je i stanąć za jakim niewysokim krzakiem, jeśli tylko nie zanadto

---

Był on istną opatrznością naszej wyprawy. Bez niego groziły nam: niewygoda, głód i zniechęcenie na każdym kroku. On był duszą i sprężyną naszego leśnego życia. On myślał o wszystkiem i robił za wszystkich, a załatwiwszy bieżące sprawy, zasiadał obok nas u ogniska, i jeżeli sen nie skleił nam tymczasem oczu, opowiadał dzieje otaczających nas lasów i dawnych polowań. Być może, iż w innych warunkach, w codziennem, zwyczajnem życiu, byłby mi się Jan wydał trochę kłamcą i próżniakiem, ale tu, zdaleka od wszelkiej kultury, wśród lasów, był on typem nieporównanym: stanowił sam przez się jedną z najciekawszych stron moich wrażeń.

Kiedy po dziennym trudzie zasiedliśmy dokoła ogniska, rzucającego krwawe blaski na bliskie jodły, stare i zgarbione, jakby zdziwione, kto przyszedł kłócić ich wiekowy spokój i sen nocny, wtedy stary Jan był w swoim żywiole i zaczynał opowiadać. Czem dla stepu ukraińskiego lirnik, śpiewający dzieje szlaków i kurhanów, tem był dla knici litewskiej ten stary, brodaty strzelec. Jak bard, śpiewał nam co wieczór historyę tych lasów, tych głębi, w których snuliśmy się, jak banda cyganów, opowiadał ich chwałę i leśne dramaty, które miały miejsce i w których sam czynny brał udział. Nasza gromadka, rozłożona dokoła ognia wśród lasu, przypominała mi sceny z „Wolnego Strzelca" — tylko tu sam byłem aktorem i bawiło mnie to leśne życie i opowiadania nieskończenie więcej, niż najwspanialszy teatr. Nasze gawędy ciągnęły się często w późną noc. Księżyc był w pełni, wschodził późno i często wytaczał się wysoko nad czarny las, a my siedzieliśmy dokoła gasnącego ogniska, zasłuchani w opowiadanie starego myśliwca, i czekaliśmy, aż świt zapędził nas do szopy na siano.

Pierwszego wieczora po przyjeździe do S., Jan wyprawił nas wcześniej spać, bo „i pan z drogi, i jutro do lasu."

Spaliśmy w szopie na sianie. Szopa była nowo stawiana, brakło jej wrót i połowy dachu. Za to powietrze było ciepłe, łagodne, komarów mało, a siano pachło tak, jak pachnie leśne siano, sucho sprzątnięte.

Z rozkoszą wyciągnąłem zbite podróżą i niewywczasem ciało, na miękkiem posłaniu, ale usnąć nie mogłem. Po głowie szumiała mi myśl, że oto jestem w tych litewskich puszczach, do których tak długo tęskniłem, o których tyle myślałem i słyszałem. O parę kroków odemnie szumi oto chłodny, ciemny las, w którym znajdę się za parę godzin. I cietrzewie i głuszce, które mam ubić, są już także, śpią gdzieś niedaleko odemnie z utulonemi pod skrzydła, główkami. Uczułem trochę wyrzutów sumienia na myśl, że je jutro niewinnie mordować będę, że przyjechałem tak daleko jedynie dlatego, żeby zakłócić ich spokój i szczęśliwy leśny żywot. Wszystkie te myśli i obrazy kłębiły mi się jedne przez drugie w głowie i mieszały się z cudownym zapachem siana, upajając mnie, jak haszysz.

zbliży nas to do naszego sąsiada. Jeśli stoimy przed gąszczykiem, dobrze jest czasem przeciąć sobie kilka luk, tylko tej operacyi zbytnio nie przedłużać, bo byśmy mogli sąsiadowi i samym sobie zwierzynę odpłoszyć. Często zwierz, ruszony przez zachodzącą obławę, wymyka się cichaczem i dlatego dobrze jest od samego początku być przygotowanym na wszelką ewentualność. Stojąc na stanowisku, myśliwy powinien mieć oczy, zwrócone jednocześnie na wszystkie strony, przez co chcę powiedzieć, że nie powinien się zapatrywać długo w jedno miejsce, lecz wzrokiem wodzić nieustannie w granicach promienia widzenia. Najczęściej wypadki tak zwanego „przegapienia“ zdarzają się wtedy, gdy myśliwy zapatrzy się na sztuki, idące na sąsiada, a tymczasem inne wymykają się obok niego. Jeśli stoimy przed gąszczem, obserwujmy pilnie zachowanie się naszych sąsiadów, bo to nas nieraz ostrzedz może o zbliżaniu się zwierzyny.

Na zakończenie dodam jeszcze kika rad z dziedziny etyki ludzkiej i myśliwskiej. Starajmy się zawsze postrzałka dobić, aby się nie mordował. Nie strzelajmy sąsiadom pod stanowiska. Wszelkie spory o zabitą sztukę starajmy się załatwiać szybko i zgodnie w imię tej prawdy, że polowanie jest zabawą towarzyską, na której panować powinna zgoda i wesołość, a nie kłótnie i swary.

Oby niejeden z naszych młodych, a nawet i starszych myśliwych, mógł skorzystać z tych kilku uwag, pobieżnie skreślonych.

Jan Sztolcman.

Straż leśna prywatna.

Podajemy poniżej dosłowne tłomaczenie tekstu nowych przepisów o prywatnej straży leśnej, które świeżo otrzymały sankcyę Najwyższą.

Nowe przepisy uważają straż leśną w lasach prywatnych, jako policyę *sui generis*, która, jakkolwiek utrzymywana będzie przez właścicieli lasów, i wyłącznie na ich usługi, niemniej jednak każdy stróż będzie zatwierdzony przez władzę na swojem skromnem, lecz ważnem stanowisku. Straż owa będzie miała prawo noszenia broni i w razach koniecznych użycia jej w obronie własnego życia, które przy zatrzymywaniu szkodników leśnych wszelkiego rodzaju, mogłoby być zagrożone. Przywilej ten niewątpliwie nada powagi takiemu nadzorcy leśnemu i doda mu odwagi do gorliwego a energicznego pełnienia swoich strażniczych obowiązków. Nadużycie tego przywileju karane będzie, jak zwykła zbrodnia, na ogólnych zasadach prawa karnego, niema więc obawy, aby nadużycia w tym kierunku rozpowszechnić się mogły.

Gdy jest mowa o uzbrojeniu straży leśnej, nie przypuszczamy, aby właściciele lasów prywatnych zbroili swoją służbę inaczej, jak w strzelby. Jest to broń dla leśników najodpowiedniejsza i wszędzie w Europie wśród straży leśnej rozpowszechniona. Stróż leśny, uzbrojony w ten sposób, może oddać niemałe usługi i krajowemu zwierzostanowi, niszcząc szkodniki. Obawa praktykowania kłusownictwa przez uzbrojonego w strzelbę, stróża leśnego, winna się zmniejszyć wobec brzmienia artykułu 9-go, który opiewa, że stróż leśny podlega odpowiedzialności karnej, nietylko za zniszczenie, uszkodzenie, przywłaszczenie lub roztrwonienie materyału drzewnego w lesie, powierzonym jego opiece, ale również w razie innych przestępstw lub przekroczeń „w zakresie zarządu lasami prywatnemi“. Każdy dobry zarząd lasami ma na uwadze spokój i całość miejscowego zwierzostanu, a więc kłusownictwo, czyli niszczenie zwierzyny przez stróża leśnego, będącej własnością jego chlebodawcy, byłoby mu poczytane za przestępstwo, karane kryminalnie z mocy powołanego wyżej, artykułu.

Nie twierdzimy bynajmniej, aby stróż leśny zastąpił zupełnie fachowego strzelca, nie będzie on miał bowiem ani dość czasu, ani potrzebnego zasobu specyalnych, myśliwskich wiadomości, aby się zwierzyną należycie zaopiekować, w każdym jednak razie może bez żadnego uszczerbku dla głównych swoich zadań, dać skuteczną pomoc myślistwu, strzelając wałęsające się psy, lisy, spotkane przy obchodzie rewiru i t. p., a wreszcie walcząc z wszelkiego rodzaju kłusownikami, którym, jako dobrze uzbrojony, może śmiało zajrzeć w oczy. Ileż to jest wypadków, że poczciwy dzisiejszy gajus z kijem w ręku, krzyczy, wrzeszczy i wymyśla spotkanemu kłusownikowi, który się zeń śmieje, wie bowiem, że gajowy wobec jego broni re-

---

Black pomrukując, ułożył mi się w nogach, wzdychając głęboko przed zaśnięciem, bo kolacya z miejscowej osypki nie smakowała mu i był w fatalnym humorze. Mój kolega i Jan chrapali już w kącie szopy, konie chrupały siano, wszystko było cicho, spokojnie i jasno w tę lipcową, miesięczną noc. Przez nieprzykrytą część dachu widziałem kilka gwiazd i białą chmurkę, stojącą nieruchomie na niebie. To było ostatnie wrażenie tego wieczoru i z tym obrazem pod powiekami, usnąłem.

Nazajutrz, ledwie pierwsze blaski świtu zarumieniły na wschodzie niebo, byliśmy na nogach. Spać mi się chciało jeszcze ogromnie, ale widząc, że moi towarzysze już wstali, zerwałem się i ja, i wyszedłem przed naszą szopę zobaczyć, jak wygląda okolica po dniu. Las zaczynał się tuż za szopą, ale nie widać go było jeszcze zupełnie, bo tonął w mgle i w mroku porannym. Wszystko, co nas otaczało, przesycone było wilgocią; z każdej igły na jodłach wisiała kropla rosy, trawa na ziemi wyglądała, jak posrebrzona, nawet nasze odzienie było wilgotne. W jednej chwili to chłodne, świeże powietrze ranka orzeźwiło mnie i gotów byłem ruszyć choćby zaraz. Na pieńku kipiał już samowar, nastawiony przez Jana, kiedyśmy jeszcze spali. „Będzie pogoda, chwała Bogu, rzekł stary myśliwy, bo mgła idzie w ziemię.“ Pospiesznie piliśmy herbatę, parząc sobie usta, byle tylko czasu nie tracić.

W kwadrans byliśmy gotowi, ubrani, obuci — i uzbrojeni, ruszyliśmy do lasu, poprzedzani przez skomlące radośnie psy, uszczęśliwione naszym rynsztunkiem i przygotowaniami. Minęliśmy małe, nieskoszone pólko owsa i razem z pierwszemi promieniami ukazującego się słońca, weszliśmy w las. Nie był to nasz poczciwy mazowiecki, albo wielkopolski lasek, pełen liściastych drzew, zielony, zamieszkały przez świergocące do rannego słońca, ptactwo, wesół i pachnący. Tu widać było tylko siwe i czerwonawe pnie grubych jodeł, na ziemi mnóstwo łomu, potrącanego nogami i kłującego w stopy, a wszystko to porosłe obfitym, brodatym mchem, zwieszającym się całemi pękami z każdego drzewa.

U nas mech jest skromny, dyskretny, rośnie tylko na północnej stronie drzewa i chroni gospodarza swego od zimna, płacąc w ten sposób za komorne i gościnność. Tu mech jest potężny, panujący nad wszystkiem, rośnie na każdej najdrobniejszej gałęzi i odbiera jej żywotne soki, ciągnięte z ziemi. Te brody wiszące smutno ku ziemi, nadają drzewom pozór starości i zgrzybiałości, który uderza od pierwszego wejrzenia. Oprócz tego lasy, które widzieć tam miałem sposobność, są martwe i milczące, bo zupełnie brak w nich drobnych ptaszków, ożywiających nasze lasy. Spotyka się jedynie dzięcioły, pukające o stare, zmurszałe drzewa. Zwierzyny niema zresztą w większych lasach, bo brak podszycia. Jedynym krzewem, jaki spotkać można, jest lichy, przejrzysty jałowiec.

(D. c. n.)

spekt mieć musi i za daleko w swej gorliwości się nie posunie. Gdy jednak kłusownik spotka się oko w oko z młodym, silnym strózem leśnym, równie jak on, uzbrojonym, i będzie miał to przeświadczenie, że w razie zamachu na życie dozorcy leśnego, może sam życie postradać -- czelność i odwaga zniknie i częstokroć bez oporu złoży on broń bez walki, w której szanse kłusownika będą zawsze mniejsze. Tylko zdecydowany zbrodniarz, schwytany na gorącym uczynku, nie straci pewności siebie, zazwyczaj jednak cały hart złapanego kłusownika, łamie się wobec świadomości swego przewinienia i oczekującej go odpowiedzialności. Dziś, wobec bezbronnego gajowego, uchodzi on bezkarnie, a przynajmniej stara się ratować ucieczką, mając zawsze w odwodzie siłę swojej broni, wobec uzbrojonego stróża leśnego musi się stać bojaźliwszym i uleglejszym.

Wogóle pragnęlibyśmy, aby właściciele lasów jaknajszerzej skorzystali z artykułu 9 nowego prawa w celach myśliwskich i dlatego na ten artykuł zwróciliśmy baczniejszą uwagę.

J. Z.

PRZEPISY

o sposobie zatwierdzenia, prawach i odpowiedzialności stróżów leśnych lasów prywatnych w guberniach Królestwa Polskiego.

Rada państwa w połączonych departamentach praw, spraw cywilnych i duchownych, ekonomii państwowej, oraz na ogólnem zebraniu, rozpatrzywszy wniosek ministra rolnictwa i dóbr państwa o sposobie zatwierdzenia, prawach i odpowiedzialności stróżów leśnych w lasach prywatnych w guberniach Królestwa Polskiego, wydała opinię następującą:

Zmieniając i uzupełniając odnośne przepisy dla prywatnej straży leśnej w guberniach Królestwa Polskiego, wydać przepisy następujące:

1) Na stróżów leśnych właściciele majątków ziemskich i gromady włościańskie wynajmują ludzi dobrego prowadzenia, nie młodszych, jak 20-letnich. Stróże leśni zatwierdzeni na swoich posadach przez naczelników powiatu i uwolnieni są przez swoich chlebodawców, którzy winni zawiadomić o tem naczelników powiatu.

2) Naczelnik powiatu wydaje stróżom leśnym blachy do noszenia na piersiach podczas pełnienia obowiązków. Chlebodawca, zwalniając stróża, obowiązany jest zwrócić blachę naczelnikowi powiatu.

3) Blachy owe (art. 2) przygotowują według wzorów, zatwiedzonych przez ministeryum spraw wewnętrznych, komisye gubernialne do spraw włościańskich. Na pokrycie zaś poniesionych na ten cel, wydatków przy wydawaniu blach pobierana jest opłata, której wysokość określą komisye gubernialne.

4) Sumy, potrzebne na przygotowanie blach dla stróżów leśnych, zezwala się czerpać z funduszów gminnych, w wysokości, określonej przez gubernialną, miejscową komisyę do spraw włościańskich, dla każdej gminy oddzielnie.

5) W lasach, wszyscy winni ulegać prawnym żądaniom stróżów leśnych, mających na sobie znaki swojego urzędowania, jako osób, stanowiących policyę leśną.

6) Stróż leśny, schwytawszy na uczynku winnego naruszenia praw leśnych, ma prawo zatrzymać go i odprowadzić do najbliższego urzędu gminnego lub wioskowego. Jeśli zaś straż leśna z powodu braku odpowiedniej siły na miejscu, nie ma możności zatrzymać winnych, to o tych, którzy jej są znani, obowiązana jest donieść najbliższej władzy policyjnej, a co do innych, przedsięwziąć wszelkie środki w celu sprawdzenia ich osobistości i zgromadzenia dowodów ich winy.

Uwaga. Zatrzymanie winnych nie może mieć miejsca w razie przekroczenia cięcia względnie do otrzymanego biletu (kartki), lub cięcia drzewa grubego, jak oznaczono w bilecie (kartce), a także w razie samowolnego korzystania z serwitutu pastwiskowego, oraz w tych wszystkich wypadkach, w których wykrycie winnego jest łatwe — jednakże straż obowiązana jest zawiadomić o tem władzę policyjną.

7) Straż leśna, przy pełnieniu swoich obowiązków służbowych, może użyć broni:

a) dla odparcia wszelkiej zbrojnej na nią napaści;

b) dla odparcia napadu nawet nie zbrojnego, lecz dokonanego przez kilka osób, a nawet przez jedną, lecz w takich okolicznościach lub warunkach, gdy żaden inny środek obrony był niemożliwy:

c) w obronie innych osób od dostrzeżonego przez stróża leśnego, napadu, grożącego życiu, zdrowiu lub nietykalności napadniętych:

d) przy zatrzymaniu winnego naruszenia prawa leśnego, gdy będzie starał się przeszkodzić temu wymienionemi wyżej, czynami gwałtu (punkty a i b).

W każdym z wyżej wymienionych wypadków, stróż leśny obowiązany jest o wszystkich okolicznościach i następstwach użycia broni raportować przy pierwszej sposobności, najbliższej władzy.

8) Jeśli przy aresztowaniu lub w pogoni za winnym naruszenia prawa leśnego, stróże leśni użyją, bez żadnej widocznej konieczności, broni i spowodują kalectwo, ranę lub śmierć kogokolwiek, to podlegają karze według kodeksu karnego.

9) Stróże leśni za uszkodzenie, zniszczenie, przywłaszczenie lub roztrwonienie materyału leśnego w powierzonych ich ochronie, lasach, oraz za inne przestępstwa lub przekroczenia w zakresie zarządu lasami prywatnemi, podlegają karom ogólnym, wskazanym za tego rodzaju przestępstwa w kodeksie kar.

Jego Cesarska Mość raczył opinię Rady Państwa w d. 8 czerwca (st. st.) 1903 r. Najwyżej zatwierdzić i rozkazać wprowadzić w wykonanie.



WYPRAWA MYŚLIWSKA do Mongolii.

(Ciąg dalszy).

Werchne Udinsk wcale ładnem a nadzwyczaj czystem okazało się miasteczkiem, a że tegoż dnia przyjechała tu, powracająca deputacya Buratów, więc barwny stworzył się obrazek. Na ulicach pełno prostych z sarniej skóry jargaków (rodzaj długiej koszuli aż do kostek, spiętej na ramieniu, a służącej za ubranie i płaszcz zarazem), obok bogatych, złotem i różnemi kolorowemi nićmi haftowanych, jedwabnych okryć, lamów i starszych burackich, a wszyscy na głowach mieli czapki futrzane, okrągłe, śpiczasto zakończone, z długiemi, na uszy spadającemi, końcami; na każdej czapce konieczna gałka lub kutas, według dostojeństwa przedstawiciela, z szarych nici lub barwnego jedwabiu; pod czapką czarne, jak smoła, włosy, czarne skośne oczy, cera smagła, prawie miedziano czerwona, duże wystające kości policzkowe i ogromny spłaszczony silnie, nos. Pomimo tego twarz Burata wogóle sympatyczna, oczy patrzą nadzwyczaj bystro i sprytnie, i nie w jednej fizognomii daje się zauważyć -- że się tak wyrażę— silnie rozbudzoną inteligencyę. Wiadomo zresztą, że Buraci wogóle mają silnie rozwinięte zdolności, szczególniej do matematyki. Ciekawy to jest naród. Nie z lenistwa, bo widziałem Buratów bardzo nieraz pracowitych, ale wprost drogą filozoficznych rozmyślań, doszli oni do przekonania, że człowiek jest najszczęśliwszy, gdy najmniej pragnie i dlatego też zadawalają się najmniejszem; prowadzą życie ściśle koczownicze i pomimo, że mają jeszcze przez cesarzowę Katarzynę nadane, duże przywileje i obszary ziemi i łąk, nic nie sieją, a tylko hodują duże stada owiec i bydła. Z tego jednak nie wynika, by żyli

w biedzie; znam niejednego Burata, któryby mógł pochwalić się kilku i kilkunastu tysiącami rubli, złożonemi na czarną godzinę. Dawniej wyznawali oni religię pogańską, pełną zabobonów i przesądów; byli wówczas bardzo niezgodnego i mściwego charakteru i podobno bogom składali nawet krwawe ofiary w ludziach. Następnie przyjęcie Buddyzmu zmieniło zupełnie usposobienie tego ludu. Ta religia, pełna wyrazu miłości i głębokiej filozofii, wytworzyła z Buratów lud łagodny, trochę jakby marzycielski, ogromnie na wszelką ludzką biedę czuły, a przytem posiadający nadzwyczajny zasób niewzruszonego spokoju. Ten spokój nieraz wprowadzał mnie w zdumienie. Na polowaniu przewodnik mój, Burat, przejeżdżając koło pewnego pagórka, mówi.

— Moja tu przeszłego roku 180 krów padłych pochowała.

I żeby choć jakikolwiek wyraz smutku lub oddźwięk żalu odezwał się w głosie tego koczownika, nic, z najzupełniejszym głosi to spokojem, jakby to nie o jego mienie chodziło. Ludzie, którzy Buratów dobrze znają, mówią, że wobec największej radości, smutku, czy bólu, Burat jednakowo pozostaje spokojny i z twarzy jego nic wyczytać nie można. Nieraz gniewało mię to nawet. Zadowolony z jakiegoś przewodnika, daję mu suty trynkgeld; żebym kiedykolwiek jakieś podziękowanie usłyszał, lub zauważył wyrażenie radości — nigdy nic. Przy sposobności jednak Burat umie, chce i może stanąć w obronie swoich interesów. Mieliśmy tego przykład na deputacyi, przybyłej do Werchne Udinska. Rząd rosyjski, chcąc zaprowadzić jaki taki ład i porządek, szczególniej w posiadaniu ziemi, bo dotąd Buraci rządzą się przez lamów i tak zwane głowy obieralne, przyczem zdarza się dużo samowoli, zaproponował starszym Burackim wydzielenie każdemu ziemi, z prawem koczowania na niej, i utworzenia ze wszystkich Buratów „wołości", podległych obieralnym burackim starszynom i sądom, na wzór instytucyj włościańskich w Rosyi i Syberyi. Buraci nic przeciwtemu nie mieli. Ale oto rozniosła się między nimi pogłoska, że to tylko wstęp i że później zmuszą ich do mieszkania razem, całemi wsiami, że nie pozwolą koczować, a co najważniejsze, że będzie zaprowadzony pobór wojskowy, czemu oni, jako buddyści, stanowczo są przeciwni. Otóż korzystając z zatrzymania się w Werchne Udinsku generała Nadarowa, rządzącego Zabajkaliem, deputacya, złożona z lamów i starszych Buratów, wystąpiła w długiej mowie z energicznym protestem i pytaniem, czy pogłoski są prawdziwe. Generał Nadarow najuroczyściej zapewnił deputacyę, że wszystkie ich przywileje będą uszanowane i zachowane.

W Werchne Udinsku jedyne jedzenie na stacyi, ale tak podłe, że byliśmy na pół głodni. Wogóle co do jedzenia i spania, to Syberya wygodą się nie odznacza. Po pierwszych kilku nocach od twardego spania na podłodze, boki tak bolą, że zupełnie poruszyć się niepodobna. Spanie urządza się w taki sposób, że na podłodze kładzie się wojłok, zwany tu „potnik", i na tem podróżny może urządzać się, jak chce; dobrze, jeżeli jeszcze jakąkolwiek dodadzą poduszkę. Po paru tygodniach, szczególniej wobec zmęczenia, wywołanego ciągłą podróżą i polowaniem, przyzwyczają się, ale z początku spanie najdokuczliwiej dawało się we znaki. Brać zaś łóżka składane z sobą — nie sposób, ze względu na trudność komunikacyi i ogromny koszt przewozu. Nawet konserwów nie decydowaliśmy się brać za dużo, żeby się nazbyt nie obciążać.

W Werchne Udinsku porobiliśmy zakupy ostatnich drobiazgów, brakujących nam jeszcze. Panuje tutaj już zwyczaj amerykański. Specyalnych sklepów niema, ale są ogromne składy, w których można dostać wszystkiego, począwszy od ubrania, butów, a kończąc na broni, cukierkach, konserwach i masie gramofonów. Dziwne, jak owe samograjki prędko się rozeszły po świecie, a tu, w Syberyi prawie w każdym zamożniejszym, nawet chłopskim domu, jest jakaś grająca maszynka.

W nocy, zapłaciwszy bajeczny rachunek, przeszło 20 rb. za jedną dobę i jeden pokój — nb. nic tam nie jedliśmy — wyjechaliśmy do Petrowskiego Zawodu, ostatniej naszej stacyi kolejowej, gdzie też stanęliśmy mniej więcej w południe. Ostatni to obiad na obrusie, ostatni kelner we fraku i na długi czas zapomnimy o tem, że podobne rzeczy na świecie egzystują.

W Petrowskom przejeżdżamy ze stacyi kolei na stacyę poczty konnej, parę wiorst około wielkich zakładów hutniczych żelaznych, które, jak wszystkie przedsiębiorstwa rządowe, w nader opłakanym znajdują się stanie. Ruda bogata bardzo, drzewa poddostatkiem i zupełnie blizko żelazo w Syberyi stosunkowo drogie, a pomimo tego zakłady upadają. Dziwne to zjawisko.

Na poczcie dają nam tylko jedną parę koni, bo druga zajęta, a pod rzeczy proponują tak nazwane wolne konie, żądając za to bajecznej zapłaty. Po długich targach godzimy się o dowiezienie naszych rzeczy do Mality, wioski, gdzie mieszka znajomy Feliksa, myśliwy „Promyszlennik", a sami pakujemy się do kibitki. Przypuszczam, że gdyby św. Inkwizycya znała ten rodzaj wehikułu, zapewne umieściłaby go w rzędzie najwyszukańszych tortur. Proszę sobie wyobrazić rodzaj łódki, czy raczej koryta, postawionego na czterech kołach, pokrytego niziutką płócienną budą, bez żadnego siedzenia wewnątrz. Siedzieć nie można, bo niema na czem, a o ile postawi się jakąś walizkę, to od rzucania po korzeniach, jeździ ona po całej kibitce i usuwa się z pod siedzących. Leżeć również nie można, bo kibitka za krótka, zresztą bokami wyczuwa się wszystkie spojenia, a przytem jazda syberyjska! Im większy spadek, im nierówniejsza droga, „jamszczyk" tem szaleniej pędzi konie, a że droga ciągle z góry i na górę prowadzi, więc jazda czasami nawet straszna. Hamulców żadnych nie znają i nie uznają, a jamszczyk uważałby za ogromną hańbę, jeżeliby jego orczykowe konie choć na chwilę przestały galopować. Droga wije się między górami, wspina się często na szczyty i spuszcza się znów na dół, ale wogóle mało malownicza. Jedziemy ciągle zaroślami lub rzadkim bardzo, wypalonym lasem, gdzieniegdzie przez rzeczki, dużemi otoczone łąkami. Wszystko to robi wrażenie czegoś ogromnie smutnego, opuszczonego, a choć nigdzie ludzkiej siedziby nie widać, wszędzie znać ślady rabunku; lasy pocięte i popalone, duże kłody zrąbane leżą i gniją bez użytku. Gdzieniegdzie z gór występują ogromne masy szarego granitu i dodają jeszcze dzikości okolicy. Na górach wszędzie śnieg, w dole ziemia zamarzła dudni, ale śniegu już mało i w samo południe słońce silnie przygrzewa. Pod wieczór jednak ochładza się mocno i w nocy mróz do 10° Reaum. dochodzi.

Na stacyach przeprzęgają nam dość prędko konie i koło 12-ej wjeżdżamy na podwórze dużej chaty. Wychodzą bracia Istominowie, właściciele chaty, ogromni dwaj drągale, i poznawszy Feliksa, serdecznie do chaty zapraszają.

Tu nowa bieda. Wobec nadchodzących świąt, chatę czyszczą; t. z. świetlicy t. j. przybudówki, rodzaju salonu, przeznaczonego dla gości, od tygodnia po wymyciu podłóg i ściany, nie opalono, tak, że temperatura tam była taka, jak na dworze. Mieliśmy więc do wyboru, albo marznąć w nieopalonej chacie, albo lokować się w niedużej ciupce, gdzie cała rodzina Iwana się umieściła. Wybraliśmy pierwsze i otuliwszy się szczelnie w nasze futra, ulokowaliśmy się na podłodze, kazawszy przedtem w piecu napalić. Ja spałem trochę wyżej na ławce, i rano poczułem jakiś dziwny zapach, ale nie skombinowałem, co to jest. Po chwili Feliks wychodzi na dwór i słyszę krzyk dzieci:

— „Barin ubilsia".

Okazało się, że w dawno niepalonej chacie wszyscy silnie zaczadziliśmy. Ja z Anglikiem, jako

wyżej śpiący, opłaciliśmy to tylko silnym bólem głowy. Feliksa prawie przez pół godziny nie mogliśmy ocucić. Dzięki Bogu, innych złych skutków zaczadzenie nie miało.

Dzień ten poświęciliśmy wypoczynkowi i sortowaniu rzeczy, które z nami miały iść do Mongolii i które miały na Melnicznoj, w kopalni złota, czekać na nasz powrót.

C. W.

(*D. c. n.*)



Z tegorocznych polowań.

(*Dokończenie*).

Opowiadano mi, że bociany, których tu jest moc, całemi gromadami chodzą po łąkach i przez cały dzień prześladują młode dubelty i bekasy. Tenże Juchym mówił mi, że obok jego chaty na sąsiada chałupie jest gniazdo bocianie i że każdego dnia widuje, jak bociany swym dzieciom przynoszą z łąk różne ptactwo, między któremi najwięcej bywa dubeltów. Żaden inny drapieżnik, nawet jastrząb, nie robi tyle szkody w błotnej zwierzynie, co bocian, i ten straszny szkodnik u wszystkich ludów słowiańskich otoczony jest nimbem świętości, coś w rodzaju „Tabu" na wyspach australijskich, rzecz, której dotknąć nie wolno. Strach pomyśleć, ile to bekasów i dubeltów ginie corocznie od tych „świętych" drapieżników: te tylko mogą się wylądz, które wybierają dla gnieżdżenia się, niedostępne zarośla, gdzie „poczciwy boćko" nie może zrewidować, wszystkie zaś gniazda na odkrytych i dostępnych dla niego miejscach, są wytępione doszczętnie razem z matkami, siedzącemi na jajach.— Te zaś dubelty, które szczęśliwie się wylęgną, gdy wyjdą na żerowiska, są ciągle prześladowane i niszczone przez bociany, a tylko bardzo ostrożne osobniki, które umieją wyciekać, unikają śmiertelnych ciosów jego strasznego „młota" (dzioba). Wobec tego dziwić się nie można, że lęgowe dubelty przed psem nie dotrzymują, gdyż—będąc ciągle straszone przez „boćki", posłyszawszy najmniejszy szelest, natychmiast wyciekają. U nas w kraju, gdzie niema lęgowych dubeltów, a tylko spotykają się przelotne, które, zapadając na łąki, wypasają się i wytrzymują doskonale przed psem; więc nic dziwnego, że taki szczęśliwy myśliwy, któremu zdarzy się podobne spotkanie, opowiada później, że to najlepsza zwierzyna do układania młodego wyżła, gdyż tak dotrzymują, iż trzeba niemal nogą go kopnąć, żeby się zerwał.

Miałem i ja raz jeden tylko niezłą sposobność, której nie mogłem wyzyskać należycie. W dniu 11-go sierpnia wybrałem się na cietrzewie z niedostępnym gajowym, Juchymem. Przejeżdżamy obok łąk już skoszonych, pokrytych piękną otawą. Nie mając ładunków z 10 n-ru śrótu, a tylko kilkanaście ich n-ru 9 na cietrzewie, zleźliśmy z bryczki tylko na próbę, czy jest co na tej otawie. Postanowiłem zwiedzić tylko bardzo mały teren, może ze dwie morgi do rowu, który przecinał łąkę. Znalazłem tam 5 dubeltów oblanych, które doskonale dotrzymywały i zrywały się ciężko z burczeniem. Zabiłem wszystkie pięć bez pudła. Pies twardo stawał, dubelty były ogromne, stare, podług słów Juchyma: „Wełmo (bardzo) wełyki dubelty, taki, jak kaczki czyranki" Tego dnia opuściłem ten teren, pojechałem na cietrzewie, obiecując sobie na drugi dzień przyjechać i zrewidować całą łąkę, która rozciągała się na ogromnej przestrzeni. Na drugi dzień, 12-go sierpnia, biorę moc ładunków, przyjeżdżam, znajduję tylko masę śladów, dziurek i odcisków od łapek, gdzie dubelty żerowały, ale dubeltów już nie było, widocznie tej nocy odleciały na południe. Przeszukawszy dokładnie całą łąkę, co mi zajęło prawie cały dzień czasu, zabiłem 6 dubeltów, i to młodych, między któremi była jedna stara, widocznie matka z dwojgiem małych dzieci; oprócz tego zabiłem jednego kszyka. Zbadawszy dobrze całą łąkę, wywnioskowałem, że dubeltów jeszcze wczoraj musiało być wiele, które zapewne zebrały się tu, aby w nocy odlecieć; pozostało tylko te kilka młodych, które zabiłem.

Oprócz bocianów, straszną klęską dla dubeltów jest: uprawiane przez miejscowych kłusowników na wiosnę, polowanie na toki. Może nie wszystkim myśliwym znane jest tego rodzaju polowanie, więc pozwolę sobie na tem miejscu opisać je w krótkości.

Na wiosnę, gdy dubelty przylecą, zapadają na bagna i łąki i co wieczór odbywają tokowiska. Wybierają zwykle miejsca do gry wiosennej, wzniesione nad bagnem, przy brzegu łąki, na twardym gruncie. Samczyk rozpościera skrzydła, układa ogon wachlarzowato i ugania się w prostej linii jeden za drugim; wtedy jest bardzo „zacietrzewiony" i mało ostrożny. Otóż kłusownik, wypatrzywszy takie miejsca tokowisk, przychodzi z rana, kiedy dubeltów niema, i urządza tam coś w rodzaju budki; właściwie nie jest to budka, a tylko zasłona: bierze się kilkanaście suchych gałęzi i obstawia się w około, wtykając gałęzie w rozmokłą ziemię, jedna od drugiej na kilka, a nawet kilkanaście cali. Chodzi tylko o to, aby cokolwiek być zasłoniętym. Pod wieczór wcześnie, jeszcze przed zachodem słońca, przychodzi kłusownik z flintą, którą nabija malutkiemi nabojami prochu i drobniutkiego śrótu. Gdy rozpocznie się czas tokowania, dubelty podbiegają do strzelca na kilka kroków, wtedy jednym strzałem można zabić kilka sztuk odrazu. Strzału, który jest względnie cichy, dubelty nie boją się, a nawet do zabitych, a jeszcze trzepoczących się, podbiegają w celu stoczenia z niemi walki, i padają ofiarą nowego strzału. W ten sposób, jak mi opowiadano, zabija się po 30 sztuk i więcej w jeden wieczór. Pomiędzy zabitemi są naturalnie samczyki i samiczki, gdyż razem tokują.

Można sobie wyobrazić, wiele dubeltów co wiosnę pada ofiarą kłusowników, zważywszy, że tego rodzaju polowanie uprawiają chłopi, którzy niemal wszyscy posiadają broń, o czem się naocznie przekonałem, będąc na polowaniu na wilki, które administracya tutejsza urządziła. Wilki były gniazdowe, z wieczora i do dnia „owabione". Było nas kilkunastu myśliwych, a naganki, oprócz straży leśnej, przeszło 100 ludzi i wszyscy prawie mieli najróżniejszego rodzaju broń. Na moje zapytanie, czy mają ci miejscowi nemrodzi pozwolenie na broń?, powiedziano mi, że prawie wszyscy chłopi posiadają broń bez żadnego pozwolenia, a policya patrzy na to przez szpary, a właściwie wcale nie patrzy — jakby to do niej nie należało. Polowanie na wilki nie udało się, jak zwykle, wyszły bokiem na flanki, jednego tylko naganiacze podstrzelili, a i ten uszedł, choć silnie podobno raniony.

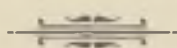
Na wiosnę i latem chłopi polują zawzięcie na kaczki, których tu bardzo jest dużo. Co wieczór na błotach i jeziorkach nad Horyniem, odbywa się kanonada, jak na rewii. Próbowałem i ja parę razy na złotach strzelać do kaczek, zabiłem kilka sztuk, ale stanie całemi godzinami po kolana w wodzie i nieznośne komary, czynią ten sport mniej przyjemnym. Dnia 14 sierpnia, pożegnawszy gościnnego gospodarza, wyjechałem do domu.

Wyjeżdżając na Wołyń, miałem zamiar po powrocie zapisać mojego Sylfa na Warszawskie próby polowe wyżłów. Później rozmyśliłem się, nie dlatego, żeby mój pies nie miał pożądanych zalet, przeciwnie, jest to pies wysokich kwalifikacyj myśliwskich: wiatr doskonały, stójka piękna, szukanie szerokie i szybkie, względnie posłuszny, w pracy niezmordowany i jako pies myśliwski, nieoceniony. Właśnie dlatego boję się poddać go próbie, by go nie zdyskredytować. Na takich (tylko najwyżej półgodzin-

nych) próbach. panowie sędziowie muszą się trzymać pewnych reguł, którym najlepszy pies, jeżeli nie był układany przez specyalistę — układacza z zawodu, — może nie odpowiadać i być zwyciężonym przez psa o daleko niższych zaletach polowych, ale który odbył żelazną (twardą) tresurę. Mego psa nie mogłem nawet od stójki odwoływać, (co, zdaje się, jest wymagane na próbach) gdyż trudno psa odwoływać od zwierzyny, która wycieka i za najmniejszym hałasem zrywa się.

Byłem z moim psem dwa razy na kuropatwach, zabiłem kilkanaście sztuk. Kuropatw mam w okolicach Sokołowa dosyć, widuje się lotne stadka i są już spore, ale za to wyciekają i nie dotrzymują przed psem, jakby to był nie sierpień, lecz październik. Prawdopodobnie przyczyna jest ta, że nasze dzierżawy polowań są na gruntach drobnej własności, gdzie wskutek ciągłych robót w polu, kuropatwy są bezustannie niepokojone i nie mają nigdzie miejsca, gdzieby mogły skryć się i siedzieć w spokoju.

B. Czułajewski.



POLOWANIE Z NAGANKĄ

w niemieckich koloniach Wschodn. Afryki

Niejednokrotnie czytaliśmy już wzmianki, w jak barbarzyński sposób odbywa się tępienie zwierzyny w Afryce, zdawałoby się przeto, że w koloniach, stojących pod protektoratem cywilizowanego państwa, powinny być zaprowadzone i przestrzegane prawa ochronne, tymczasem za pomocą sieci i innych nieprawidłowych sposobów, tępienie odbywa się masowo i zachodzi obawa o coraz większe zanikanie niektórych gatunków zwierząt.

Ze szczegółowym opisem takich polowań spotykamy się w „Weidmannie“, skreślonym przez dzierżawcę plantacyi z okolic Mikantini, a który brzmi w streszczeniu jak następuje:

U nas, podobnie jak w kulturalnych państwach, zostają wysyłane zaproszenia na polowanie z oznaczeniem miejscowości, punktu zbornego, dnia i godziny. Strzelcy (gdyż na miano myśliwych nie zasługują) stawiają się w oznaczonem miejscu z sieciami i mocnemi, wyostrzonemi nożami, i odpowiednia ilość naganiaczy jest zebrana. Doszedłszy do knici, która podzielona jest na odpowiednią ilość zakładów, naganiacze zachodzą, jak w europejskich stosunkach, z flankami półkolem i tworzą niejako łańcuch między sobą; strzelcy zaś. na przeciwległej stronie rozstawieni, rozpinają sztywno sieci, przywiązując je mocno do pni drzew, aby nie mogły się przewrócić pod naporem uderzających zwierząt, a z ukończeniem tej manipulacyi, chowają się za grube pnie drzewa, wyczekując z nożem zdobyczy. Na dany znak, z krzykiem, wyciem i piskiem piekielnym, horda murzynów zaczyna pędzenie.

Strzelcy, z natury obdarzeni bystrym wzrokiem, uważnie śledzą przez gęstwiny, czy jaka sztuka pożądanej zwierzyny nie podchodzi, i jeden drugiego znakami informuje o kierunku pędzącej zwierzyny. Po niedługim czasie wypada waterbok (duża antylopa) w gwałtownych susach i spostrzegłszy grożące niebezpieczeństwo w rozciągniętej sieci, ufając swoim zdolnościom, pędzi dalej, aby jaknajszybciej oddalić się od prześladującego go krzyku. Na kilka kroków przed siecią zatrzymuje się, spostrzegłszy, że przedsiębrany skok może się nie powieść, cofa się, aby z większym rozpędem przesadzić przeszkodę, tymczasem tylnemi racicami zaplątał się w sieci, tracąc równowagę, pada. W tej samej chwili wypada ukryty negr, skręca kark waterbokowi i z lubością przerzyna mu gardziel. Obfita posoka sączy się, następują drgnienia śmiertelne, poczem sztywniejące członki rozciągają się, a bystre oczy szlachetnego zwierza zwolna zamykają się lub, jak szklane, patrzą żałośnie na lasy, które go wychowały i za osłonę mu służyły, a teraz nie mogą mu pomódz.

Przygotowanym zapasem gałęzi i liści, trofeum przykrywa się po wydobyciu z siatki, a strzelec następnie ukrywa się za pniem drzewa, czekając dalszego szczęścia w tej morderczej zabawie. Sąsiad jego tymczasem szczęśliwszy: zdala w spokojnem tempie podbiega antylopa z młodem, zaledwie dwumiesięcznem koźlęciem. Zdawałoby się, że taka sztuka powinna znaleźć nietylko poszanowanie, ale i pobłażanie. Próżna nadzieja! W piersi negra nie szukać współczucia, pojęcie polowania, zasady ochronne są mu nieznane. Czy waterbok, czy inna antylopa lub też zwierz jaki, przedstawiają dla niego „makulla“ t. j. pożywienie; antylopa z rozkosznem koźlęciem podzieliły los wyżej opisanego waterboka. W ten sposób polując, ubito, a raczej zarznięto 20 sztuk różnej zwierzyny. Krew się ścina na widok takiej rzezi i uczestniczący europejczyk wyrzeka się raz na zawsze udziału w takiej wyprawie, a tak niewielki rozkład w obszernej knici tem więcej dowodzi, jak naglącą jest potrzeba zaprowadzenia najostrzejszych przepisów zabraniających polowania z sieciami, aby zapobiedz znikaniu niektórych gatunków zwierząt.

Innego typu odbywają się znowu polowania na drapieżnego zwierza; właściwie nie są to polowania, lecz wyprawy w celu obrony życia. Warunki tychże już są trudniejsze, wymagają lepszego uzbrojenia i emocyi, a przedewszystkiem odwagi, rzadko u krajowców spotykanej. Z braku tych warunków rezultat wypraw po części nie udaje się i nie obywa się bez ofiar w ludziach.

Pierwsze miesiące 1896 r. smutną kroniką zaznaczyły się w okolicach Mikandini. Kilka lwów, stanowiących prawdopodobnie rodzinę, grasowało w tej okolicy, i nie było tygodnia, aby ktoś z ludzi, czy to w nocy lub też wśród dnia przy pracy nie padł ofiarą rozjuszonych tych bestyj, nie mówiąc już o coraz większym ubytku domowych zwierząt. Wypadki w ludziach dają się tem wytłumaczyć, że lew zakosztowawszy krwi człowieka, nabiera gustu i upodobania do tego rodzaju przysmaku, tem więcej, że taka zdobycz przychodzi mu łatwiej, niż dzik, zaopatrzony kłem szablistym, niemile łechcącym, lub bawół rogaty.

Zajadłość lwów bywa zaś bezgraniczna nieraz, zdarza się bowiem często, że chociaż legnie jedna sztuka z rodziny, reszta nie opuszcza tej okolicy i pozostaje aby niepokoić w dalszym ciągu ludzi.

Gdy więc spustoszenia w tej okolicy przybrały coraz większe rozmiary, zarządzający obwodem zwołał najodważniejszych negrów na naradę, z propozycyą, aby odbyć obławę na tych niepożądanych gości, zapewniając pomoc z żołnierzy miejscowej policyi i dostarczenie odpowiedniej broni i amunicyi. Zebranie dostatecznej ilości ochotników napotkało na trudności, i nareszcie po długich pertraktacyach i przyrzeczeniu napitków w postaci „Pombo“ (rodzaj piwa z prosa) i „Tombo“ (wino z palm kokosowych) zdecydowało się około stu negrów na tego rodzaju wyprawę.

Skoro przygotowania odpowiednie zostały ukończone, wysłano najodważniejszych i najwprawniejszych, aby przetropili miejscowość, w której lwy się znajdują, i po odebranej w niedługim czasie wiadomości o świeżych śladach, wyruszono na wyprawę. Doszedłszy do przypuszczalnego legowiska lwów, otoczono je szerokiem kołem. (*Dok. nast.*)



TĘPIENIE RYBITW WE WŁOSZECH.

Pisaliśmy już nieraz o strasznych rzeziach wszelkiego ptactwa we Włoszech. Oto świeżo znany, autor łowiecki, p. Arthur Renault, podaje ciekawe szczegóły o masowem tępieniu rybołówek *(Sterna nigra)* w Toskanii.

Prawo łowieckie toskańskie, jako nieprzebrana skarbnica mądrości, powiada, że z dniem 15 kwietnia wszelkie polowanie z bronią palną zostaje zamknięte, ale natomiast pozwala łowić sieciami rybołówki i kuliczki do 31 maja. Jest to najwidoczniejsze protegowanie ptasznictwa, które jeszcze w 1616 r. autor toskański, Baldodino di Monte Simoncelli, pozbawił szlachetnego miana *caccia* (myślistwo), a nazwał je *assassinamento in terra* (rzezią na ziemi).

Jeśli nalot jest obfity, rybołówki zbiera się workami. Jeden sieciarz bierze dziennie do 1,200 sztuk. Dzieje się to wtedy, kiedy jeden strzał z broni palnej kosztowałby 100 lirów kary.

Z punktu widzenia kulinarnego, rybołówkę możnaby określić w sposób następujący: dużo piór i dużo kości, otoczonych troszką lichego mięsa z zapachem ryby. I mimo to, skoro tylko nalot się zacznie, mnóstwo myśliwych—przepraszam—ptaszników, rozpoczyna ich łowienie za pomocą otwartych sieci, rozpostartych na brzegach stawów lub łąk zalanych, w miejscach, gdzie rosną trawy i trzciny. Ptasznik ukrywa się w małej budce, umieściwszy poprzednio kilka wypchanych rybołówek w pobliżu zatrzasku. Na widok tych manekinów zlatują się rybitwy, w przekonaniu, że jest to dobre miejsce dla wypoczynku, i nocami zapadają w obrębie sieci. Jedno pociągnięcie i 30 lub 40 ptaków staje się łupem ptasznika. Ponieważ taki jegomość jest zwykle pozbawiony wszelkich uczuć ludzkich, więc nic dziwnego, że dla zwabienia rybitw zaczyna torturować biedne ptaki, aby swym krzykiem zwabiały towarzyszki.

Niekiedy rynki są przepełnione temi chudemi ptakami, których cena waha się między 6 i 7 centymami. Prawie wszystkie są pozbawione skrzydeł, które ptasznicy obrywają, aby płacić mniejszy podatek konsumcyjny, pobierany od wagi, a nie od sztuki. W niektórych okolicach prowincyi Pizy i Lucques skrzydła te, według ornitologa Pawła Savi, stanowią olbrzymie kupy, używane jako nawóz w sadach oliwnych.

Kiedyż to nareszcie — kończy swój artykuł pan Renault — ukróci się te wstrętne rzezie, pozbawione wszelkiego uroku myśliwskiego, a noszące w sobie piętno zimnego okrucieństwa, które nie kwadruje bynajmniej ze współczesną cywilizacyą.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 30 września. Z Włodawskiego jeden z Członków donosi o nadzwyczajnem rozpowszechnieniu się tam kłusownictwa i o bezkarności tego przestępstwa. Włościanie zupełnie bezkarnie polują na swoich gruntach, nie posiadając biletów ani na broń, ani na prawo polowania. W pewnej wsi skłoniono wójta gminy do zaskarżenia winnych tego nadużycia przepisów o polowaniu z 1871 r. Sędzia gminny w dwóch wypadkach nadesłał wójtowi odpowiedź, że skargi te nie podlegają rozpatrzeniu sądu, bowiem — według zdania sędziego — włościanom na swoim gruncie polować wolno, a za nieprawne utrzymywanie broni, kary wyznacza władza administracyjna. Ponieważ sędzia gminny nie może pozostawić bez następstw prawidłowo podanej skargi, choćby ona była bezzasadna, lecz obowiązany jest rozpatrzyć ją na kolegialnem posiedzeniu sądu, przeto Rada postanowiła zwrócić się z prośbą do Sądu Zjazdowego, aby polecił odnośnemu sądowi gminnemu sprawę rozpatrzyć. Gdy sąd gminny bliżej przyjrzy się sprawie, to przyjdzie do przekonania, że nie wolno nikomu polować nawet na własnym gruncie bez biletu na prawo polowania, który wydaje się tylko posiadaczom najmniej 150 morgów. Nadto Rada postanowiła również prosić p. Gubernatora o ukaranie winnych posiadania broni bez pozwolenia.

Posiedzenie Rady, 7 października. Zarząd dóbr państwa nadesłał warunki, na jakich można przez licytacyę zadzierżawić polowanie w leśnictwach Rafałowskiem i Czartoryjskiem w pow. łuckim na rok przyszły i następne. Ponieważ leśnictwa te dzierżawi kółko członków naszego Oddziału, przeto Rada poleciła zakomunikować interesowanym nadesłany projekt kontraktu.

Przedstawiono Radzie projekt instalacyi oświetlenia elektrycznego siedziby Oddziału. Rada uważa, że zdecydować o tem powinno Ogólne Zebranie członków i dlatego ofertę uznało za przedwczesną.

P. Bronisław Wysocki, członek Rady, złożył swój mandat.

Dalsze posiedzenia Rady odbywać się będą co tydzień, we środy.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU.

Nasz Oddział przed kilku laty ogłosił konkurs na napisanie monografii: sarny, zająca i kuropatwy. Długo trzeba było czekać, zanim się znalazły stosowne prace. Jednakże parę lat temu pojawiła się wreszcie monografia „Kuropatwy“ p. Juliana Biesiekierskiego (drukowana w „Łowcu Polskim“), którą uznano za odpowiadającą warunkom konkursu i nagrodzono, w roku zeszłym zaś rozstrzygnięto konkurs na monografię sarny, nagradzając pracę p. Wiktora Stephana „Sarna“ (również drukowana w „Łowcu Polskim“).

Wreszcie z kolei pojawiły się i trzy monografie zająca, oznaczone godłami: »Lepiej późno, niż nigdy“, „Pro publico bono“, „Nemrod“. Właśnie w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca *jury* konkursowe, złożone z pp. Al. Rembowskiego, Konrada Machczyńskiego, Jana Sztolcmana, ks. Stefana Lubomirskiego i hr. Augusta Zamoyskiego, ukończyło czytanie tych prac i w odnośnym protokóle wyraziło zdanie, że za najlepszą uważa monografię z godłem „Lepiej późno niż nigdy“. Po otworzeniu właściwej koperty okazało się, że autorem tej pracy jest p. Wiktor Stephan, laureat konkursu na monografię sarny, któremu też przyznano nagrodę w sumie 250 rb..

Jury jednak w swym protokóle wyróżniło pracę oznaczoną godłem „Pro publico bono“, jako pełną zalet i samodzielną, a z uwagi, że zając ona musiała autorowi dużo czasu i kosztowała niemało pracy, *jury* postawiło wniosek, aby i tej pracy przyznać jakąś nagrodę pieniężną.

Ważną wadą tych konkursów było wyznaczenie tylko jednej jedynej nagrody, co niewątpliwie wpłynęło na to, że wielu zbrakło odwagi do pisania na konkurs. Można mieć tyle pewności siebie, aby rozpocząć pracę w przekonaniu, że się stworzy rzecz dobrą, trzeba jednak już pewnej dozy zarozumiałości, aby sobie powiedzieć, że stworzymy pracę najlepszą. To też autorowie ociągali się z roku na rok i dopiero brak odnośnych prac zupełny, skłonił ich do pokuszenia się o zdobycie tego jedynego laurowego wieńca, jaki był do otrzymania. To też *jury*, stawiając powyższy wniosek, pragnęło widocznie ów brak warunków konkursu wypełnić.

Rada, której ów wniosek przedstawiono, nie czuła się uprawnioną do samoistnego zdecydowania tej kwestyi i postanowiła przedstawić wniosek *jury* do decyzyi Ogólnego zebrania z przychylną opinią i propozycyą, aby Ogólne Zebranie dla pracy „Pro publico bono“ asygnowało rb. 100, jako drugą nagrodę.

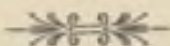
Druk pracy p. Wiktora Stephana rozpoczniemy w następnym numerze „Łowca Polskiego“.

Z żałobnej karty.

† **Ś. p. Wojciech Łubieński** z Kiączyna w Księstwie Poznańskiem, uległ nieszczęsnemu wypadkowi na polowaniu.

W d. 10 b. m., o godz. 11 ś. p. Łubieński wyjechał na podjazdowe polowanie. Spostrzegłszy w polu rogacza, podjechał ku niemu i wziął od furmana sztucer, a dubeltówkę oparł w karyolce obok siebie. Kiedy stanął do strzału, dubeltówka się osunęła, kurki uderzyły o stopień, dwa strzały padły, a jeden z nich ugodził zmarłego wzdłuż goleni w brzuch i prawdopodobnie porozrywał wnętrzności. Krew gwałtownie zaczęła ubiegać z rannego, a gdy go przywieziono do domu, już wszelki ratunek okazał się niemożebnym. Przywołany lekarz, zastał trupa. Nieszczęsną wdowę z dziećmi, bawiącą zagranicą, zawiadomiono o wypadku telegraficznie.

Wypadek ten nieszczęsny pozbawił nietylko rodzinę wzorowego męża i ojca, ale całe społeczeństwo znakomitego obywatela, który brał żywy udział we wszystkich pracach, bądź jako poseł do sejmu prowincyonalnego, bądź jako członek izby rolniczej, komitetu wyborczego, radca Czytelni Ludowych, „Wielkopolanina“ i t. d.



Drobiazgi myśliwskie.

Jesienny ciąg słonek. Niejaki pan Dankmeyer donosi do niemieckiego pisma „Wild und Hund“, że w Kleczanach w Galicyi widział pierwsze słonki jesienne we czwartek, d. 17 września i w sobotę, d. 19 tego miesiąca. W poprzednich latach spotykało się tutaj pierwsze słonki, jak opiewają odpowiednie notatki, dopiero w początkach października, tym razem więc ciąg słonek zaczął się wcześniej o dwa tygodnie. Wiadomość tę potwierdza ta okoliczność, że tegoroczna wycieczka hr. Ksawerego Branickiego na Ukrainę na słonki, przedsięwzięta w d. 4 października, nie powiodła się zupełnie. Myśliwi wcale nie znaleźli słonek, w tych miejscach, w których w roku zeszłym i dawniejszych było ich setki.

Czy bażanty są szkodliwe? Gazety myśliwskie zwalczają ostro pogląd na rzekomą szkodliwość bażantów, rozpowszechniony w Wielkiem Księstwie Heskiem, gdzie nietylko lud prosty rolniczy, lecz nawet nadleśniczowie książęcy twierdzą, jakoby bażanty wyrządzają szkody w polu. Błędne to mniemanie doprowadziło więc do tego, że w tamtych stronach wolno niszczyć bażanty w każdej porze roku, jak każdego wogóle szkodnika. Odpowiedni przepis opiewa, że „bażanty należy odstrzeliwać wszędzie, gdzie się da, *zarówno jak wrony*, wiewiórki i t. d.; czynić to powinni przedstawiciele władzy nadzorczej, jak stróże polni i t. p.“ Pozwala się tam nawet zakładać trutki celem tępienia bażantów, narówni z myszami polnemi. Niewątpliwie, że tam, gdzie się namnoży zbyt wiele bażantów, wyrządzają one pewne szkody w polu. Wszakże dochodzi się do wielkiej przesady, jeżeli wogóle potępia się bażanty, jako szkodniki.

W okolicach nadreńskich naprz. włościanie twierdzili, że bażanty rujnują ich pola ogórkowe. Tymczasem myśliwi tameczni nigdy nie napotykali na tych polach bażantów, lecz tylko rozmaite wrony, które miały po ubiciu nasienie ogórkowe w dziobach w znacznej ilości. W ten sposób bażanty niewinnie odpowiadają za wszelkie szkody, wyrządzane przez różne kury, wrony, a nawet wróble. W istocie zaś, jak stwierdza prasa fachowa, bażanty są owszem pożyteczne, bo niszczą owady, szkodliwe dla rolnictwa. Dr. Wurm znalazł w jednem wolu bażanciem 250 owadów szkodliwych. Stanowczo przeto bażant daje większy pożytek, aniżeli wyrządza szkodę nieznaczną przez wyrzucanie ziarn zbożowych lub wykopanie kilku kartofli.

Zwierzyna przed stu laty. W wydanych w roku bieżącym przez Wacława Tokarza, „Pamiętnikach starego żołnierza“ (Antoniego Białkowskiego, 1806—1814) autor opowiada, że maszerując drogą lesistą ku Altenburgowi, spotykał przy drodze zwierzynę wszelkiego rodzaju, jako to: daniele, jelenie, sarny, a zające bez liku. Takie mnóstwo było wszędzie owej zwierzyny, że w czasie bitwy lipskiej, gdy z dwóch stron rozpoczął się huk dział, zające nie wiedząc, gdzie się schronić, wpadły w szeregi, nareszcie w wodę, ze strachu. Wówczas to sam Białkowski zabił zająca pałaszem.

Króliki w Niemczech. Niemieckie sfery rolniczołowieckie są zaniepokojone z powodu mnożenia się dzikich królików, które wyrządzają znaczne szkody. Już d. 21 listopada 1899 r. ministeryum rolnictwa wydało polecenie masowego tępienia królików. Jak dalece zaś one się rozmnożyły w prowincyach pruskich, a zwłaszcza na Szlązku, dowodzi przykład następujący. W okolicach Gogolina w okręgu opolskim na rewirze strachwickim ubito w ostatnich dwóch latach przeszło 9100 królików, a około 45.000 młodych wytępiono. Zniszczyły one tam prawie połowę pól zasianych. Na szóstym zjeździe szlązkich związków leśnych, odbytym w czerwcu, odczytano referat „o mnożeniu się i tępieniu dzikich królików“, który wywołał powszechne zainteresowanie.

Jak szybko biegnie zając. Według wiadomości z „der Weidmann“, maszynista z lokomotywy zauważył pomykającego zająca tuż obok plantu, w oddaleniu 25 metrów przed pociągiem. Chcąc się przekonać o szybkości zająca, powiększył maszynista szybkość jazdy, lecz nie wiele to poskutkowało, gdyż odległość między zającem a pociągiem niewiele się zmniejszyła. Pociąg ten biegł z szybkością 47 kilometrów na godzinę, przeto i biedny zajączek wyciągał skoki z taką samą szybkością, dopóki nie dobiegł do lasku, w którego gąszczu skrył się po tak forsownym wyścigu. Bieg ten trwał około 2 i pół kilometra. W każdym razie, jak na zająca, ładny rekord.

Kronika Myśliwska.

Członkowie kółka Maleszewskiego zabili na swoich dzierżawach w ciągu bieżącego sezonu kuropatwianego, 380 kuropatw, 2 przepiórki, 12 derkaczy i 6 bekasów.

ZAPYTANIA i ODPOWIEDZI.

Orechów (gub. Tauryd\zka).

Zapytanie N. 5. Mieszkając czasowo na południu, udało mi się dostać parę małych dropi, które już są u mnie trzy miesiące. Kiedy je kupiłem, były tak małe, że ledwo miały opierzone skrzydła, i tak dzikie, że trzeba było kłaść chleb do dzióbków, by nie zdechły z głodu. Obecnie samiczka jest wielkości indyki, a samiec znacznie większy; samiczka tak się oswoiła, że bierze z rąk. Mówili tutejsi mieszkańcy, że dropie bardzo lubią liście fasoli i jeżeli stado znajdzie w polu fasolę, to zniszczy zupełnie. Obecnie fasola wyschła, więc jestem w kłopocie, jaką karmić zieleniną, a szczególnie w zimie. Najchętniej jedzą mięso surowe, lub gotowane, a prócz tego chleb, ser i bułkę, więc też udaję się z prośbą do Szan. Redakcyi, o łaskawe udzielenie mi wskazówek, czem właściwie żywią się dropie i czy można dawać tyle mięsa, ile zechcą. W krótkim czasie wracam do gub. mińskiej, gdzie dla nich będą więcej sprzyjające warunki, bo będą chodziły po ogrodzie, a obecnie mają odgrodzony kawałek podwórza. Są to bardzo miłe i ładne ptaki i jeżeli na wiosnę będą małe, to niezwłocznie uwiadomię „Łowca Polskiego“. *Wiktor Suseycki.*

Odpowiedź N. 5. Brehm mówi, że hodowcy karmią dropie w bardzo młodym wieku polnemi skoczkami, robakami dżdżowemi i mięsem kury, drobno siekanem. W późniejszym wieku dają im mięso solidniejsze, oraz zieleniny i *ziarno* wszelkiego rodzaju. Althammer karmił swoje dropie robakami mącznemi (*Tenebrio molitor*) i kanarem (*Phalaris canariensis*), otrzymując przy tej karmie doskonałe rezultaty. Sądzimy, że karmiąc swe wychowanki mięsem, ziarnem i sałatami (w braku kanaru), ochroni je Szan. Pan od chorób. Należy unikać dawania mrówczych jaj, które według Althammera, wywołują biegunkę. *Jan Sztolcman.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Przecławskiemu w Acsyńsku. Przyznajemy w zupełności słuszność uwag Szanownego Pana i w przyszłości postaramy się do nich zastosować.

Treść Nr 20 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.
Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.
Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.
„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.
Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Tarcza do próbowania broni śrótowej, opracowana przez Wł. Słonczyńskiego na podstawach, przyjętych przez Niemiecki Instytut do próbowania ręcznej broni palnej w Halensee, wydana została nakładem Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, i można ją nabywać u Intendenta Towarzystwa w cenie rub. 1 za 25 sztuk.